

JAK ROZMAWIAĆ O ZBRODNI WOŁYŃSKIEJ

Polsko-ukraińskie relacje pozostają w cieniu tamtej nierozliczonej zbrodni, której apogeum nastąpiło 80 lat temu, w lipcu 1943 r. Nie można od niej uciekać. Dlaczego więc nie chciałam napisać tekstu na rocznicę Wołynia?

ANNA WYLEGAŁA



CO ROBI POLSKA BADACZKA TRUDNEJ polsko-ukraińsko-żydowskiej historii, gdy Rosja napada na Ukrainę i zaczyna mordować ukraińskich cywilów, uzasadniając to koniecznością obrony przed faszyzmem? Zamyka komputer i zaczyna pakować paczki z ubraniami i pomocą humanitarną. To w pierwszym odruchu.

W drugim odpowiada na zaproszenie ukraińskich kolegów i włącza się w projekt kryzysowej dokumentacji, organizując w Polsce zespół nagrywający relacje historii mówionej ukraińskich uchodźców (w sieci: swiadectwawojny2022.org). Po roku w bazie projektu jest 200 nagrań, które składają się na ponad 500 godzin opowieści: o agresji, niedowierzaniu, okupacji, utracie bliskich, śmierci, panice, ucieczce, przekroczeniu granicy z Polską i odbudowie życia w naszym kraju. Oraz o tęsknocie. Zaskakująco często są to także opowieści o historii własnej rodziny, którą – z perspektywy osoby dotkniętej rosyjską agresją – widzi się jako ciąg prześladowań ze strony Rosjan, Sowietów i dziś znów Rosjan.

W trzecim odruchu badaczka patrzy z wahaniem na swój konspekt tekstu o wsi Wojciechowice (ukr. Utichowyczi) na Lwowszczyźnie. Latem 1941 r. ukraiński policjant oddaje tam dwa strzały i pozbawia nimi życia Różę i Mojżesza

Strickerów, przed wojną właścicieli miejscowego folwarku, w 1945 r. giną zaś po kolei ostatni mieszkańcy wsi, którzy uważani są przez Ukraińską Powstańczą Armię za etnicznie „nieczystych” (czyli mają częściowo polskie pochodzenie).

Gdy wojna się nie kończy

Badaczka patrzy, waha się i myśli, że może jednak ten tekst o Wojciechowicach napisze później, gdy wojna się skończy, a teraz może jednak lepiej coś o reformie rolnej w powojennej Polsce. W końcu wszyscy Żydzi i Polacy, których jej tekst miał dotyczyć, i tak są od bardzo dawna martwi.

Ostatecznie zresztą okazuje się, że projekt zbierania uchodźczych świadectw nie zostawia zbyt wiele przestrzeni na inne aktywności naukowe, bo po wysłuchaniu historii o życiu przez miesiąc w okupowanym Mariupolu oraz o zabitych bliskich, grzebanych w piaskownicy w całunie z folii bąbelkowej, człowiek jakoś nie ma siły na inną aktywność naukową.

Jednak wojna nie kończy się ani po kilku tygodniach, ani po kilku miesiącach. Nikt nie bierze poważnie rosyjskich deklaracji dotyczących nazistowskiej natury państwa ukraińskiego. Za to pojawiają się inne doniesienia, dużo bardziej niepokojące: wiosną 2022 r. tekst

rosyjskiej agencji RIA Nowosti nawołuje wprost do ludobójstwa na narodzie ukraińskim, twierdząc, że element najbardziej oporny, który okaże się niepodatny na „denazyfikację”, należy eksterminować.

Obraz z Buczy, obraz z Podola

Potem badaczka budzi się pewnego pięknego wiosennego dnia roku 2022 i pierwszy obrazek, który widzi w wiadomościach podsuniętych przez Google, to zdjęcie masowego grobu ukraińskich cywilów odkrytego w Buczy po tym, jak z tego podkijowskiego miasteczka wycofali się rosyjscy żołnierze; na zdjęciu spomiędzy piasku i zielska wystają długie kobiece włosy.

Badaczka patrzy i zamyka oczy, a pod powiekami ma takie same doły śmierci, z których w roku 1941 i 1942 wystawały włosy żydowskich kobiet zamordowanych przez Niemców i ukraińską policję pomocniczą. A gdy zaciśnie powieki, widzi też poczerwiałe i zwinięte od żaru włosy Róży Cichowskiej, córki polskiego młynarza, w sierpniu 1944 r. zamordowanej z całą rodziną w Kurzanach koło Brzeżan na Tarnopolszczyźnie – historycznym zachodnim Podolu – przez miejscowy oddział UPA.

Zwęglone ciała Cichowskich znaleźli rano ich ukraińscy sąsiedzi, a historię opowiedziała mi w 2019 r. ponad

Miejsce po nieistniejącej wsi Kolonia Pokuta na Wołyniu, której ok. 49 mieszkańców zostało zamordowanych przez Ukraińców we wrześniu 1943 r. W lipcu 2018 r., w 75. rocznicę apogeum zbrodni wołyńsko-galicyjskiej – 11 lipca 1943 r. oddziały UPA zaatakowały równocześnie kilkadziesiąt polskich miejscowości – prezydent Andrzej Duda złożył tam kwiaty.

→ 90-letnia mieszkanka Kurzan (ukr. Kuriany), pochodząca z mieszanej polsko-ukraińskiej rodziny. – Wieczorem jeszcze siedzieliśmy w sadzie i śpiewaliśmy piosenki, i wszystko było normalnie. Rano ojciec poszedł ich zakopać w ich własnym ogrodzie. Długo nie byłam w stanie tam pójść – wspominała.

Rozmowa z uchodźczynią

Myślę o Rózi Cichowskiej, gdy ukraińska uchodźczyni z Sum, która w marcu 2022 r. przejechała ponad tysiąc kilometrów, by wydostać z zagrożonego miasta siebie i dwójkę swoich małych dzieci, mówi mi, że ona rozumie Polaków, że oni o ten Wołyń wciąż mają żal, ale przecież ona jest z Sum, od niej nikt w rodzinie w żadnym UPA nie walczył, ona się właściwie dopiero w Polsce dowiedziała, o co z tym Wołyniem chodzi.

Moja ukraińska rozmówczyni mieszka teraz w Sopocie i pracuje jako opiekunka środowiskowa, zajmuje się starszymi ludźmi w ich domach. Gdy jeden z jej podopiecznych uparcie wyzywa ją od banderówek i morderczyń, prosi o zmianę przydka. Swoim przełożonym nie wyjaśnia dlaczego, nie ma też – jak mi potem powie – pretensji. Bo gdy starszy pan kończył wyzwiska, opowiadał jej o matce, którą zabili banderowcy na Wołyniu, a także o siostrze, ciotce i reszcie rodziny.

Moja uchodźczyni z Sum rozumie więc, ale i tak jest jej przykro, bo choć jej matka żyje, to mało brakowało, aby rosyjska rakietą, która uderzyła w dom obok, pogrzebała ją żywcem pod gruzami.

Wota za krew

Myślę wówczas również o polskich matkach, które w roku 1943 i 1944 na Wołyniu oraz w Galicji Wschodniej uciekały i nie przeżyły, o małych trupkach porzuconych przy drodze, o pośpiesznie kopanych płytkich grobach i o tym, że na obrzeżach wielu wsi na Zachodniej Ukrainie ukraińscy sąsiedzi grzebali 80 lat temu swoich polskich sąsiadów. Oraz o tym, jak wiele z tych grobów wciąż jest nieoznaczonych, a ukraińskie władze od 2017 r. uparcie odmawiają zgody na ekshumację ciał.

Gdy w 2018 r. mój polsko-ukraiński zespół prowadzi badania terenowe na Tarnopolszczyźnie, nagrywamy wywiady we wsi Wiśniowczyk. Wieś słynie z kapliczek, niemal na co drugim podwórku

jakaś stoi. I po chwili robi nam się zimno, gdy podczas zastygłego w upale popołudnia jeden z ukraińskich rozmówców patrzy w bok i mówi, że podobno te kapliczki to wota za krew – tam, gdzie Polaka zabili, tam je stawiali.

„Forpoczta rosyjskiej propagandy”

Gdy późną wiosną 2022 r. ukraińska koleżanka z tego naszego zespołu, która od lat zajmuje się krytycznymi badaniami nad działalnością Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i UPA w czasie II wojny światowej, szczególnie w kontekście Zagłady Żydów, mówi mi, że koledzy z instytutu oskarżają ją o bycie forpoczta rosyjskiej propagandy, i że niezależnie od trwającej wojny ona coraz mniej widzi dla siebie miejsce w ukraińskiej akademii, myślę z żalem, że akademia ta traci właśnie jedną z szans na to, by rozliczenie z trudną ukraińską przeszłością wyszło właśnie od niej, nie zaś narzucane z zewnątrz – przez Polskę, Izrael czy Unię Europejską.

I doceniam mój komfort, bo moich badań nikt nie cenzuruje, moi koledzy nie wysuwają wobec mnie oczekiwań, że będę pisać w określonym nurcie. A przede wszystkim moje państwo nie prowadzi wojny obronnej, która stawia naukowców w obliczu trudnych wyborów.

Mimo to, gdy w końcu wracam do tekstu o Wojciechowicach, mordzie na Strickerach, i gdy piszę o powojennym strachu przed ukraińskimi partyzantami, czuję się nieco nieswojo.

Dylematy badacza

Ten dyskomfort próbuję zwerbalizować, gdy kilka tygodni temu redakcja „Tygodnika” pyta, czy nie napisałabym artykułu na rocznicę Wołynia, a próby te doprowadzają się właściwie do pytań, na które wciąż nie mam odpowiedzi.

Stąd może to krążenie wokół tematu i zataczanie kolejnych kręgów. Co zmienia w badaniach historycznych i w publicznym dyskursie o historii obecna wojna, która prowadzona jest również o interpretację historii? Czy właściwe jest krytyczne uprawianie historii w sytuacji, gdy wyniki takich badań mogą być dla rosyjskiego agresora jak woda na młyn jego propagandy, oskarżającej ofiarę napaści o to, że kolektywne winy narodu ukraińskiego z przeszłości przekładają się wprost na to, czym ten naród jest dzisiaj?

Ale co, jeśli krytyczne uprawianie historii to po prostu uczciwe uprawianie historii? Może więc lepiej się od takich badań na trochę powstrzymać? A jeśli nie od badań, to w każdym razie od ich szerokiego dyskusowania, bo społeczną rolą humanistyki jest również odpowiedzialność za szerszy wydźwięk tego, co się wyprodukowało i napisało.

Historycy w mundurach

Te pytania mają oczywiście inny wydźwięk w Polsce, a inny w Ukrainie.

Gdy w lutym tego roku Hryhorij Kasjanow, historyk zajmujący się też pamięcią zbiorową, mówił na zorganizowanej w Berlinie przez Instytut Pileckiego konferencji o tym, jak trwająca wojna zmienia życie ukraińskich naukowców, zaczął od brutalnego stwierdzenia: niektórzy z nich poszli na front, część zginęła albo wkrótce zginie. Mychajło Tiahłyj, badacz Zagłady Romów, odpisuje mi z obozu przygotowawczego dla rekrutów, gdy kilka miesięcy temu pytam go, czy może napisać tekst na ten temat. Inny znajomy, Jewhen Hulewycz, antropolog kultury i filozof, przez kilka miesięcy uznawany jest za zaginionego; w końcu w marcu przychodzi oficjalne zawiadomienie o jego śmierci pod Bachmutem.

Anton Drobowycz, dyrektor Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, zaciąga się na ochotnika w pierwszych dniach wojny. Jego ostatniemu kontrowersyjnemu wywiadowi opublikowanemu na portalu glavcom.ua, w którym twierdził, że Ukraińcy wielokrotnie przepraszały za rzeź wołyńską, i obstawał przy zakazie ekshumacji polskich ofiar, towarzyszy jego zdjęcie w mundurze, na którym Drobowycz opiera się o swoje stanowisko polowe.

Z pewnością niektórzy ukraińscy badacze zadają sobie pytania, czy lojalność wobec własnego państwa, prowadzącego wojnę obronną, nie stoi dziś w sprzeczności z obowiązkiem naukowej uczciwości i dążenia do prawdy. Z pewnością niektórzy decydują, że krytyczne badania i rozmowę o nich należy odłożyć na później. Jednak także przed pełnoskalową agresją Rosji na Ukrainę tych prowadzących uczciwe badania nad konfliktem polsko-ukraińskim albo nad udziałem Ukraińców w Holokauście nie było aż tak wielu.

Gdy kilka tygodni temu rozmawiamy o moim hipotetycznym tekście na rocz-

nicę Wołynia, mówię, że może najlepiej byłoby, gdyby taki tekst napisał jednak ktoś z Ukrainy. Po czym nie bardzo przychodzi mi do głowy autor – prócz tej znajomej badaczki z mojego zespołu, która w międzyczasie pożegnała się z ukraińską akademią.

Pamięć i uczciwość

Te same pytania w Polsce brzmią oczywiście trochę inaczej, a nadchodząca rocznica podgrzewa klimat. Polska badaczka nie musi sobie zadawać pytania o lojalność wobec państwa, bo to nie jej państwo i nie jej wojna. Ale pozycja outsidera bynajmniej nie sprawia, że wszystkie dylematy znikają. Od zawsze są te ogólne – czy nie najwłaściwiej byłoby, gdyby krytyczne badania nad ukraińskim ludobójstwem na Polakach czy też nad ich udziałem w Zagładzie Żydów prowadzili sami Ukraińcy?

A wojna sprawia, że pojawiają się kolejne. Bo czy fakt, że Ukraińcy – ukraińscy cywile, kobiety, dzieci, starcy (myślę o rozmówczyni z Mariupola, która grzebała 80-letnią teściową w piaskownicy) – są obecnie ofiarami rosyjskich zbrodni, a nawet działań o charakterze ludobójczym, sprawia, że w imię niedostarczania pożywki rosyjskiej propagandzie mamy milczeć o polskich i żydowskich ofiarach ukraińskich nacjonalistów sprzed 80 lat? Myślę o Rózi Cichowskiej, o kapliczkach w Wiśniowczyku, a także o bratanku Mojżesza Strickera, zażegnanym przez ukraińskich partyzantów w leśnej kryjówce koło Wojciechowic – i otwieram z powrotem mój konspekt artykułu o tym, co działo się w czasie wojny w tej wsi.

Bo ofiarom należy się i pamięć, i uczciwość. A ta ostatnia oznacza jasne wskazanie winowajców. I teraz, gdy Ukraińcy są ofiarami rosyjskich zbrodni, i wówczas, gdy ofiarami byli Polacy i Żydzi, a Ukraińcy sprawcami ich cierpienia.



ARCHIWUM PRYWATNE

ANNA WYLEGAŁA (ur. 1982) socjolożka, pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Zajmuje się m.in. historią społeczną Polski i Ukrainy okresu II wojny światowej oraz Holokaustu. W latach 2017-20 jej zespół nagrał ponad 150 wywiadów historii mówionej z najstarszymi mieszkańcami ukraińskiej Galicji. Autorka książek „Przesiedlenia a pamięć. Studium (nie)pamięci społecznej na przykładzie ukraińskiej Galicji i polskich »ziem odzyskanych«” oraz „Był dwór, nie ma dworu” o reformie rolnej w 1944 r. (za tę książkę otrzymała kilka wyróżnień, m.in. Nagrodę im. Jerzego Giedroycia). Obecnie koordynatorka polskiej części projektu „Świadectwa wojny”.

Czekając na zwykłe „przepraszamy”

Gdzieś obok mojego myślenia o historii Wojciechowic, o etyce pracy badawczej oraz o dyskursie publicznym w czasie trwającej wojny toczy się zwykła polityczna przepychanka, na którą ofiary nie zasługują.

Gdy w kwietniu tego roku do Polski przyjeżdża prezydent Zełenski, temat Wołynia oficjalnie się nie pojawia. Gdy dość miękkie oczekiwania w tej kwestii formułuje rzecznik polskiego MSZ Łukasz Jasina, w mediach społecznościowych wybucha skandal, a ambasador Ukrainy w Polsce Wasyl Zwarycz oświadcza dość buńczucznie, że nikt nie będzie

narzucał Ukrainie kierunku jej polityki zagranicznej. Jasina zostaje wysłany na przymusowy długi urlop.

Sprawa wraca na wokandę, gdy w drugiej połowie czerwca Anton Drobowycz udziela wspomnianego wywiadu, w którym oskarża polską stronę o celowe zaniedbania w kwestii upamiętnień ukraińskich w Polsce, a polskim historykom wytyka brak ochoty do współpracy oraz stwierdza, że Ukraina za Wołyn przeprasza już wielokrotnie. Na wywiad reaguje polski IPN, publikując oświadczenie, w którym nie tylko wylicza wszystkie przypadki, gdy strona ukraińska odmówiła Polsce zgody na ekshumację ofiar, ale nazywa UPA *en bloc* formacją zbrodniczą, Galicję Wschodnią zaś określa jako Małopolskę Wschodnią.

Trudno się dyskutuje z historykiem, który ma na sobie mundur i broni ojczyzny z karabinem w ręku. Chciałabym, by ukraińskie „przepraszamy” padło w końcu po prostu (a nie w zaklinanej formule „wybaczamy i prosimy o wybaczenie”). Nie sądzę, aby można było wymagać takiego „przepraszamy” właśnie teraz. Ale też otwarta jest kwestia, czy w ogóle wymuszone „przepraszam” ma sens, i czy kiedykolwiek jest dobra chwila na uznanie swojej winy.

Choć gdyby takie „przepraszam” jednak padło, oznaczałoby zdecydowanie moralną siłę, a nie słabość Ukraińców.

■ ■ ■

Przyglądam się jeszcze raz z uwagą wszystkim argumentom, którymi przerzucali się uczestnicy tej dyskusji, i są one jak kolejne grudy ziemi spadające na masowy grób. Spadną, zasypią i zrobi się cicho.

Jak na tych wszystkich zarośniętych i ledwo rozpoznawalnych już masowych grobach, na których stałam przez ostatnie lata w Galicji Wschodniej i na Wołyniu.

© ANNA WYLEGAŁA

Serwis specjalny „Tygodnika”: zbrodnia wołyńsko-galicyjska

Tablica upamiętniająca 135 Polaków ze wsi Barysz na Podolu zabitych przez UPA w lutym 1945 r.



ANNA WYLEGAŁA

Minęło 80 lat, w tym ponad trzy dekady istnienia wolnej Polski i wolnej Ukrainy, a zbrodnia wołyńsko-galicyjska – mordy na polskiej ludności popełniane przez UPA i towarzyszących im ukraińskich sąsiadów (często mieszkańców tej samej wsi co ofiary) – to wciąż najtrudniejszy problem między Warszawą a Kijowem.

O tym, co działo się 80 lat temu, i o polsko-ukraińskich dyskusjach historycznych pisaliśmy w „Tygodniku” wiele razy. Niektóre z tych materiałów przypominamy w specjalnym serwisie na naszej stronie internetowej: powszech.net/wolyn43